

Czym nakarmiliśmy mantykorę



Mówią, że życie w Sundarbanach kręci się wokół dwóch rzeczy: przyływu i tygrysów.

Nie jesteśmy przyływem.

Jesteśmy tygrysami.

Mieszkańców wiosek nie martwiło to, czym się żywiliśmy, gdyż jedliśmy bardzo niewiele. Interesowało ich, czym nakarmiliśmy mantykorę. Przybył głodny. I nigdy nie było mu dość.

Nasze siedliska znajdowały się w lasach mangrowych, wśród wiecznie zielonych drzew, które uznawałam za własne. Były dla mnie wyjątkowe. Mieszkańcy wioski nazywali je *sundari*, lecz ja znałam je jako lustrzane namorzyny. Ich korzenie wystawały na powierzchnię ziemi jak zakrzywione ostrza noży wijące się na kształt niewielkich rzek. W tajemnicy zaczęłam nadawać każdemu z nich imię. Jednemu na cześć mojej matki, innemu na cześć nieba. Wyobrażałam sobie, że one same również jakoś mnie nazwały, lecz nigdy mi tego nie wyjawily. Mangrowia oferowały azyl, w którym mogłam się schronić – zwinąć między wygięciami

ostrzy korzeni i pozostać w takiej pozycji godzinami niezauważona. Znajdowały się na moim terytorium, a ja uwielbiałam samotne przechadzki krętymi ścieżkami pośród białych pni, ocieranie się o nie i drapanie kory.

Były moje, do czasu.

Nie pamiętam, kiedy osiedliśmy tu wszyscy razem. Działo się to stopniowo. Wrócił do mnie brat. Później Mała. A w końcu wszyscy naraz – i nagle było nas pięcioro. Woda stała się bardziej słona i czasem, pijąc ją, nie mogłam powstrzymać mdłości. Część roślin więdła. Wszyscy mieliśmy trudności ze znalezieniem zdobyczy. Poszukiwałam śladów jeleni, lecz gdzie nie poszłam, pierwsza zostawiałam odciski łap na gładkim mule. Tak oto trzymaliśmy się w grupie, z obeschłymi językami, pozbawieni życia, głodni. Skupieni w stadzie, by dać sobie pocieszenie, czy coś na jego kształt.

Leżeliśmy na wilgotnym mule kilka jardów od pobliskiego dopływu, pozostawiając w ziemi ślady naszych ciał, tak by ludzie przechodzący tędy wiedzieli – tu i tu leżał tygrys. Korony drzew przepuszczały promienie słoneczne i tworzyły wzory z migotliwego światła wszędzie, gdzie kierowałam swój wzrok. Gdybym przymrużyła oczy i przechyliła głowę, mogłabym niemal dostrzec w nich jelonka albo rudawkę. Cienie jednak nic nie zaradzą na pustkę w żołądku, a my byliśmy wygłodniali.

Przyszedł do nas o zmierzchu i był obcy.

Powietrze było gęste, a my nie jedliśmy od trzynastu dni. Leżeliśmy na osobliwym polu korzeni, które przypominało

mi, że drzewa nadal będą rozkwitać, nawet gdy my zmarniejemy, że mangrowia są zaradne w sposób, w jaki my nigdy nie byliśmy. Część z nich posyłała w powietrze oddychające korzenie. Przebijały błoto i stały prosto, przez co grunt wydawał się naszpikowany gromadzącymi powietrze włócznie. Tam właśnie znalazł nas obcy.

– Siostró, kto to? – spytała Mała.

– Nie wiem – odpowiedziałam, unosząc się nieco. – Wygląda na tygrysa.

– Jesteś pewna? – dopytywał Przycięte Ucho.

– Albo tygrys, albo jedzenie – rzuciła Złamana. Jej ogon wygiął się w walce z jednym z młodych z jej miotu i już taki pozostał. Polizała łapę i obróciła głowę, by móc się położyć.

Mała zmrużyła ślepią, próbując rozpoznać kroczącą ku nam sylwetkę, która rosła przed naszymi oczami.

– Trochę za duże na tygrysa. Co jeśli uzna, że to my jesteśmy pożywieniem? – Przysunęła się do Krzywego Ogonia i zaczęła pomrukiwać w poszukiwaniu pocieszenia. Część z nas nadal uważała ją za tygrysiątko.

– Może to wcale nie jest tygrys – powiedziałam. Wstałam i zrobiłam kilka kroków w kierunku obcej istoty. Czując, że znalazłam się na widoku, cofnęłam się do swoich, by się przycząić.

– Nie możemy przyjąć jeszcze jednego – rzucił Brat.

– Nie ma na co polować, w lesie nikt więcej się już nie pomieści.

– Nie – zaczęłam, spoglądając ponownie w tamtą stronę – to nie tygrys.

Futro wyglądało niemalże znajomo. Połyskująca na całej długości głęboka czerwień. Bez pasów.

Podniosłam głowę, a nieznajomy podszedł bliżej. Ujrzałam ludzką twarz otoczoną grzywą, również czerwoną.

Futro było tak bujne, że poczułam chęć przycięcia go. Obcy spojrział na mnie z góry i uśmiechnął się, odsłaniając trzy rzędy równych i ostrych zębów.

– Jestem – rzekł. Pozostali spojrzeli po sobie, a potem na mnie. Z ich oczu można było wyczytać wątpliwość „tygrys” – „nie-tygrys” i oczekiwanie na podjęcie decyzji. Zniżyli głowy i położyli uszy po sobie, zanim jeszcze sama zdążyłam to zrobić. Mała skuliła się między pobliskimi ostrzami kornieni. Jej brzuch zawisł nisko nad ziemią.

– Nie czekaliśmy na nikogo – odpowiedziałam. Wciągnęłam otaczające obcego powietrze. Miało dziwny zapach: roślin, których nie rozpoznałam, i ledwo wyczuwalną woń krwi. – Być może szukasz kogoś innego.

– A jednak szukałem. – Miał piękny głos. Dźwięczny jak ptaka unoszącego się nad lasem. Sprawiał, że wstydziłam się własnego.

– Kogo? Mnie?

– Was wszystkich. Jestem głodny. – Bałam się spojrzeć mu w oczy, więc zamiast tego skupiłam się na jego dziwnej paszczy. Miał czyste, różowe dziąsła, połyskujące od śliny.

– Nic dla ciebie nie mamy. Jesteśmy bardziej głodni od ciebie.

– Ach tak?

– Tak – odparłam. Pozostali trwali bez ruchu, zużywając resztki energii, by ustać na nogach. Brat mocno zaciskał powieki.

– Nic, czym moglibyśmy się podzielić, jak rozumiem?

– Nic. – Próbowałam utrzymać kontakt wzrokowy, lecz jego spojrzenie przewiercało się przez moje oczy aż do zakamarków umysłu. Wyobrażałam sobie, jak wślizguje się tam w poszukiwaniu czegoś, czego nie chciałabym

ujawnić. – Nie jedliśmy od wielu dni – powiedziałam w końcu. – W lasach nie ma już praktycznie żadnych czytali.

– Może powinienem zjeść was wszystkich – odpowiedział obcy. – Zawsze lepsze to niż nic.

Przełknęłam ślinę, zrozumiawszy, że popełniłam błąd. Usłyszałam ciche dyszenie. Dopiero po chwili zorientowałam się, że to ja wydaję ten dźwięk.

– Część z nas... – zaczęłam i momentalnie pożałowałam wypowiedzianych słów – część z nas udała się do wioski.

– Niby dlaczego? – zapytał. – Czego tygrys mógłby potrzebować z wioski?

– Trzymali tam bydło. Zjedliśmy jedną, może dwie krowy. Potem nie było już krów, więc zjedliśmy kozy, teraz brakuje też kóz...

Zerknęłam w dół i uświadomiłam sobie, że drążę pazurem płytką dziurę w mule. Nie chciałam mówić, co moglibyśmy zrobić dalej, teraz, gdy nie ma kóz. Że następnym krokiem byłoby zjedzenie osadników, lecz nie chcieliśmy posuwać się tak daleko. Nie chciałam mówić o tym, że wolimy chodzić głodni. Wiedziałam, że on sam nigdy nie zniósłby głodu. Zrozumiał moją ciszę, a ja w tamtej chwili nienawidziłam samej siebie – to przeze mnie pomyślał, że wioskę bez krów i kóz nadal można splądrować. Gdy zerknęłam na Brata, dostrzegłam, że obgryzł czubek oddychającego korzenia.

– Rozumiem. Wioska. – Stał przez chwilę, rozglądając się. Rzucił spojrzenie w kierunku brzegu rzeki. Warto przepływającej wody z dopływu. Szeleszczących liści mangrowi. Nas. Mnie. Odwrócił się i skierował ku leśnej gęstwinie.

– To nie tygrys – powiedziałam, choć nie kierowałam tych słów do nikogo konkretnego. Czułam, że uciekliśmy przed czymś, ale bardzo niewiele brakowało.

– Co to jest w takim razie? – zapytała Mała. Spoglądała na mnie znad ostrzy korzeni.

– Mantykora – odparłam, patrząc na jego kołyszące się lekko udźce. Ogon zakończony jak u skorpiona chłostał rośliny w pobliżu. Obserwowałam, jak maleje w oddali.

Mantykora powiedział mi, że jest w nastroju na polowanie. Leżałam pośród korzeni namorzynów, patrząc, jak kroczy po granicy naszej części lasu. Wpatrywałam się w srebrzyste czerwce na spodach liści i wyobrażałam sobie nocne niebo. Oznaczyłam jakiś czas temu drzewa wyznaczające granicę, lecz mantykora podszedł mimo to.

– Pójdiesz ze mną? – Spojrzał na korzenie, pośród których się zwinęłam. Z tego miejsca zdawał się nade mną górować. Moje drzewo poddało się i nie chciało mnie dłużej chronić.

– Nie jestem głodna. – To było kłamstwo i on o tym wiedział. Obserwował mnie długie godziny, widział, jak chłopcę słoną wodę. Jak ocieram policzki o ostre krawędzie korzeni. Jak układałam się do snu. I nie jem.

– Mogę cię nakarmić.

– Nie chcę jeść tego, co ty.

Poprzedniej nocy wpadłam na niego, przeprawiając się przez rzekę w kierunku lasu. W paszczy trzymał człowieka. Jego ciało było rozdęte i nabrzmiące, musiał utonąć jeszcze zanim mantykora go znalazł. Usta miał nienaturalnie wielkie, wystawał z nich język, oczy pozostały

otwarte. Mantykora dostrzegł mnie, ale nie odwrócił wzroku i wgryzł się mocniej w ciało mężczyzny.

Tym razem unikałam jego oczu. Gdy stawiał kroki, miałam nadzieję, że nie chowa kolejnych zwłok w zaroślach za sobą.

– Muszę iść – rzuciłam. Wstałam i rozciągnęłam się, nieco dłużej, niż faktycznie tego potrzebowałam. Nie chciałam, by mnie śledził.

– I dokąd niby pójdziesz? – spytał.

– Donikąd.

– Polować?

– Nie. – Dałam sobie chwilę na ponowne zastanowienie. – Może. Zdawało mi się, że widziałam czytala. O ile jeszcze go nie zjadłeś.

– Czego nie zjadłem? – Mantykora gapił się na mnie.

– Jelenia. Zjadłeś jelenia?

– Nie.

– Zatem na niego zapoluję. – Skierowałam się w ku jednej z przepraw na rzece. Woda była tam głębsza, lecz chciałam zachować między nami pewien dystans. Mantykora nie podzielał tych odczuć i podążył za mną. Czułam na sobie jego spojrzenie.

– Chciałabyś może rozwiązać zagadkę?

– Nie – odparłam, nie przestając się oddalać.

– Nawet jednej? – Zrównał się ze mną bez najmniejszej zadyszki. Szliśmy razem, on wyznaczał drogę. Chłostał ogonem na wszystkie strony, kilka razy nieomal zahaczając skorpionim czubkiem o mój pysk.

– Nie jestem dobra w zgadywanki.

– Jeśli ci się uda, to zostawię cię w spokoju.

- Idź stąd.
 - Jak chcesz. – Zwinął się blisko ziemi i odbił do przodu, w poprzek najszerszego odcinka rzeki. Ujrzałam, jak bez wysiłku ląduje po drugiej stronie i znika w leśnej gęstwinie.
- Patrz na to – zwrócił się do mnie. Świtało, a ja nie jadłam od szesnastu dni. – Zjem tego tam.
- Podążyłam za jego spojrzeniem ku trzcinom na środku rzeki. Po wodzie sunęło czółno. Na pokładzie siedziało dwóch mężczyzn szepczących do siebie, tak jakby nie chcieli zakłócać ciszy poranka.
- Którego? – spytałam.
 - Tego z tyłu. – Wpatrywał się w człowieka przycupniętego przy sterze. Mężczyzna miarowo wpychał długi drąg w dno rzeki, a jego partner siedział na dziobie. Znałam go, tego z tyłu, nieświadomie kuszącego mantykorę.
 - Nie zjadaj go.
 - Dlaczego?
 - Znam go.
 - Nie obchodzi mnie to. – Mantykora zsunął się na brzeg i w ciągu sekund wśliznął się do rzeki. Obserwowałam, jak cicho podpływa do łodzi. Jego głowa ledwie wystawała ponad powierzchnię wody.
- Rozmyślałam o tym, jak poznałam tego człowieka. O tym, jak w trakcie strasznej burzy zostałam oddzielona od mojej części lasu, a wylewający dopływ poniósł mnie do jednej z wiosek, całkowicie ogołoconej z drzew. Bez lasu nie wiedziałam, jak być tygryscą. Woda zmiotła mnie do szopy w pobliżu domu tego człowieka. Byłam przemoknięta i zdezorientowana, zwinęłam się pod ścianą jak najdalej od

wejścia. Gdy zapalił światło i ujrzał mnie w surowym blasku żarówki, zrobił gwałtowny wdech i otarł deszcz z twarzy. Słyszałam głosy innych nawołujących się ludzi. Szukających tygrysów. Planujących zabić te, które wtargnęły do wioski po sztormie. Wyglądniałe tygrysy. Wpatrywaliśmy się w siebie, ten człowiek i ja. W jednej ręce trzymał strzelbę wycelowaną w kąt szopy. Lufa podskakiwała niestabilnie. Drugą ścisnął wyrobioną framugę. Miał ciężki oddech, dostrzegłam pulsującą na jego szyi żyłę. Szopa pachniała oceanem, błotem i odchodami zwierząt. Pośród tego wszystkiego wyraźnie wyczuwałam także jego pot. Zrobiłam głęboki wdech i ściągnęłam twarz w grymasie, by móc uchwycić jak najwięcej woni, lecz nie dotarł do mnie zapach żadnych innych tygrysów. Poczulałam się całkowicie sama. Wpatrywaliśmy się w siebie i wtedy po cichu wycofał się z budynku. Częściowo zamknął drzwi i krzyknął w kierunku tamtych, że w jego szopie nie ma tygrysów. Żadnych tygrysów na jego posesji.

– Zostaw go – powiedziałam do siebie, gdy mantykora niezauważony uwiesił się czółna.

Maska mężczyzny, używana przy zbieraniu miodu, siedziała przekrzywiona na jego głowie, zsunięta na tył. Namalowana na plastiku poważna twarz z dorysowaną brodą stanowiła marną imitację jego własnego oblicza. Był gładko ogolony. Wystarczająco stary, by mieć dziecko, lecz wciąż na tyle młody, że jego twarz zachowała w sobie obraz chłopca, którym był kiedyś.

Zamknęłam oczy.

– Nie jego – błagałam, gdy delikatna bryza muskała bawełnianą koszulę mężczyzny. Gdy wschód słońca odbijał się od metalowego kadłuba łodzi. Gdy patrzyłam, jak

człowiek przechyla się i przesuwa palcami po powierzchni rzeki. Gdy refleksy światła rozpadały się i rozpraszały na wodzie.

Mantykorą przerzucił jedną łapę przez burtę łodzi. Zaczęłam przesuwać się wzdłuż brzegu. Męczyzna obrócił się zbyt późno, mantykorą błyskawicznie uderzył go drugą łapą i zębami wciągnął do rzeki.

Zaczęłam cicho pomrukiwać, nikomu nie przynosząc pociechy, patrząc, jak mantykorą ciągnie mężczyznę na przeciwległy brzeg, pozostawiając smugę krwi w wodzie. Przyglądałam się jego kompanowi, porzuconemu na dziobie łodzi, samotnemu i łkającemu.

Wstyd, gdy maska pszczelarska dopłynęła do mojego brzegu rzeki. Wstyd, gdy wzięłam ją delikatnie do pyska. Niewyraźnie pachniała kokosem. Smakowała jak plastik.

Chciałam, by mantykorą zostawił nas w spokoju.

– Jesteś już gotowa na polowanie ze mną?

Mantykorą stał nade mną. Słońce przedzierało się przez koronę lasu, zarysowując cienie drzew na ziemi. Spojrzałam w kierunku srebrzystych czerwców, lecz już nie potrafiłam wyobrazić sobie nocnego nieba. Nie jadłam od dziewiętnastu dni. Nie wiem, jak długo spałam. Podniosłam głowę i obejrzałam się przez ramię, by spojrzeć na własny kształt rozciągnięty na piasku. Skurczyłam się. Wtapiałam się w krajobraz. Moje futro bladło. Pomarańcz rozpuścił się w beż, a ten wypłowił. Byłam niemalże w kolorze piasku. Nieodróżnialna od mułu i korzeni. Gotowa, by zmyła mnie rzeka.

– Nie – odpowiedziałam, układając ponownie głowę na pazurach.

- Czy kiedykolwiek będziesz gotowa?
- Nie.

Gdy myślę o tym teraz, uświadamiam sobie, że nie mogliśmy go zatrzymać. Nawet gdybyśmy chcieli. Nieważne, jak często karmiony, mantykora nigdy nie był syty.

Płynęłam przez rzekę, gdy powietrze stało się cięższe. Samo wciąganie go nosem sprawiało mi trudność. Zanim znalazłam mantykorę krążącego pośród korzeni w dziwnej części lasu, której nie potrafiłam rozpoznać, wiatr wyginał już gałęzie, przygniatając je do ziemi.

- Co się dzieje? - spytałam.

- Ty ich nie zjesz - odpowiedział - ale to nie znaczy, że nie zostaną zjedzeni.

Szłam sama, szukając naszej części lasu, lecz ścieżki się pozmieniały i czułam strach przed zgubieniem drogi powrotnej. Rośliny kulily się pod naporem silnego wiatru, a rzeka podnosiła się nie tam, gdzie powinna. Próbowałam ją przekroczyć w trzech różnych miejscach i za każdym razem się wycofywałam, bo nurt wydawał się zbyt mocny na moje siły. Zobaczyłam dziwne obiekty płynące w dół wraz z porywistą wodą. Dziecięcą zabawkę. Miskę. Podartą książkę. Bałam się i nie czułam już jak tygryś - co najwyżej jak marna kopia tego, jak wyobrażałam sobie tygryś. Byłam niemal zupełnie bezwartościowa. Pomyślałam, że powinnam ofiarować się mantykorze. Zjadłby to, co ze mnie zostało. Nie pozostałby żaden ślad po pustce we mnie.

Gdy dotarłam do naszego gaju, na miejscu była tylko dwójka.

- Tak myśleliśmy - zaczął Przycięte Ucho - może mantykora miał rację. Może powinniśmy byli zjeść wieśniaków.

- Myli się – odpowiedziałam.
- Jesteśmy głodni – oświadczyła Mała. – Najpewniej po-
zjada ich wszystkich. Nie zostanie nic dla nas.
- Nie chcę, żebyśmy stali się tacy jak on.
- To nie ma znaczenia – odparł Przycięte Ucho. – Miesz-
kańcy myślą, że to my od samego początku. Znalazłem
dziś dwie nowe pułapki. A Małą prawie postrzelili. Szuka-
ją nas. – Odwrócił się i skierował rozmokłą ścieżką w dół
rzeki.
- Dokąd idziesz? – spytałam.
- Jeść. Pochwycę jednego z ludzi z łódki, tak jak on. –
Odchodząc, nachylił się pod naporem wiatru, tak jakby ten
był zdeterminowany, by skierować go z powrotem ku mnie.
- Już za późno – odpowiedziałam, sama do siebie. Po-
łożyłam się w mule i poczułam, jak mokre, drobne ziarna
wsiąkają w moje futro.

Zignorowałam Małą, gdy ta wymknęła się na brzeg in-
nego brodu. Leżałam sama pośród moich mangrowych ko-
rzeni, patrząc na łkające niebo, na przewracające się drze-
wa, które przetrwały wszystkie burze, które dotychczas
widziałam. Wsluchując się w przyływ, gdy cała sieć dróg
wodnych Sundarbanów napierała na wały chroniące ląd.
Wiedząc, że to było znacznie większe niż ostatni sztorm,
niż wszystkie burze, które pamiętam od czasów bycia ty-
grysiątkiem. Wyobrażając sobie wściekłe morze podążają-
ce tuż za przyływem, wpychające słoną wodę w układankę
łądów i rzek tak, by po osłabnięciu sztormu została jedynie
ogolocona ziemia, ptaki i morze.

Niebo było ciemne i plamiste, gdy mantykora mnie
znalazł. Połamane gałęzie więziły mnie jak klatka. Leżałam

częściowo zanurzona w morskiej wodzie, a mętne strumyczki spływały po moim futrze. Zanim ujrzałam go w całości, zobaczyłam jego stopy. Były silne i niewytłumaczalnie czyste. Jego czerwone futro nadal miało w sobie połysk i pozostało piękne, mimo kurzu, wody i błota niesionego przez coraz silniejszy sztorm.

– Teraz jesteś gotowa na zagadkę? – spytał.

– Nie. – Czułam się pokonana, nie byłam w stanie myśleć o czymkolwiek.

– Jesteś pewna, tygrysico? Nadal jestem głodny, a brzydnie mi już smak ludzi z wiosek.

– I tak mnie zjesz – odparłam.

– Może nie. Dam ci taką prostą: co lata wyżej niż zimorodek, pływa głębiej niż wieloryb i włada łądem oraz drzewami?

– Nie wiem.

– Spróbuj odpowiedzieć. – Mantykora wyglądał, jakby się uśmiechał. Niemalże miłosiernie i z litością.

Nic nie powiedziałam.

– To cyklon, tygrysico. Powinnaś to wiedzieć.

Burza sprawiała, że coraz trudniej było mi cokolwiek dojrzeć. Deszcz przecinał niebo jak pazury strzępiące korę. Głos mantykory zdawał się dobiegać z bardzo bliska i bardzo daleka jednocześnie. Mrugnęłam raz czy dwa, ale w efekcie poczułam się jedynie bardziej zdezorientowana.

– Poległaś na mojej zagadce – oznajmił.

– I teraz mnie zjesz.

– Tak. – Wpatrywał się we mnie, nic nie mówiąc. Żadne z nas się nie poruszyło. Pomyślałam o moich mangrowiach, o tym jak bardzo chciałabym pożegnać każde z osobna. O tym, że zapomniałam imion ich wszystkich.

– Co ze mnie pozostanie, gdy skończysz? – spytałam.
– Nic – odpowiedział mantykora. – Nie zostawię nawet kości.

Otworzył szeroko paszczę, odsłaniając trzy rzędy równych, ostrych kłów.

Na świecie jest tyle historii do opowiedzenia. O śpiącej dziewczynce, o starym człowieku targanym żalem, o porwanej księżniczce. O zemście na rodzicach, o niespełnionej miłości, o młodości szukającej przygód i przeżywanej na różne sposoby samotności. Pełno w nich bohaterów, złoczyńców i wyzwń. Istnieje również mnóstwo historii o zwierzętach i magicznych stworach.

A może jest tylko jedna: żywa istota przychodzi na świat, przemierza go, aż w końcu umiera. Jeśli tak, to od treści historii ważniejsze jest to, jak zostanie ona opowiedziana. W takim wypadku kluczem jest ciągle opowiadanie jej na nowo.

Być może wszystko to wydarzyło się tak:

Z wioski nie zostało nic, gdyż wszystko zostało zabrane przez mantykorę. Życie w Sundarbanach kręci się wokół dwóch rzeczy: przyływu i tygrysów.

On był przyływem, a my tygrysami.

Byliśmy głodni, lecz nie jedliśmy. On mógł pożreć wszystko i nie przestawał jeść.

Najpierw zjadł wszystkie jelenie. Potem małpy. Potem pawie i koty cętkowane. Otworzył skorupy żółwi i wyjadł mięso ze środka, po czym wylizał skorupy, tak jakby były miskami. Poobdzierał ze skóry krokodyle i zjadał ich mięso, gdy ich ciała wiły się jeszcze i przetaczały w wodzie. Łapał rudawki w locie i przegryzał się przez pancerze łuskowców, jednego po drugim.

Gdy zjadł wszystkie zwierzęta, zwrócił swe wygłodniałe szczęki w kierunku mieszkańców wioszek. Wyciągał ich z łodzi i z kuchni. Śledził ich, gdy zmierzali do leśnych uli i pożerał w całości, oszczędzając jedynie pszczelarskie maski. Nie zostawiał ubrań, nie zostawiał kości.

A gdy zmęczył się zjadaniem ludzi, spróbował połknąć wioskę w całości. Otwierał paszczę coraz szerzej i szerzej, aż stał się mgłą osnuwającą wszystko, aż zmienił się w ciężar powietrza, który przyciskał ostatnich mieszkańców. Mantykora stał się porywistym wiatrem, żwirem i wodą wdzierającą się, by wszystko przetrzebić.

Przeistoczył się w sztorm, który przewracał dzieci i popychał starszych ku kruszącym się ścianom. Mantykora zrównał domy z ziemią. Powalił drzewa. Zerwał linie elektryczne i zrzucił je na ziemię, a te spadając, chłostały ją jak syczące węże. Wtedy przebił wały. Runął na wioski ulewami, niekończącymi się kurtynami deszczu.

I mantykora stał się ścianami wody wdzierającymi się, by nas zatopić. Zatapiał nas, zatapiał wszystkich.

I mantykora stał się morzem.

I mantykora pochłoniął nas wszystkich.